Tom IV. 1. Sierpnia 1871. Nr. 4.

Rok dwunasty.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Ukarany brak miłości rodzicielskiej.

(Zdarzenie prawdziwe).

Skarzą się ludzie bardzo często, jakoby złoczyńce i zbrodniarze mieli powodzenie we wszystkiem, co czynią i jakoby Bóg im błogosławił. Uskarzają się też, że Bóg zapomniał o tych, którzy pędzą życie pobożne i cnotliwe, gdy ich dotknie jakie chwilowe niepowodzenie albo nieszczęście. Jest to bluźnierstwem. Gdyż nie jest prawdą, że źli ludzie cieszą się boskiem błogosławieństwem, Bóg bowiem sprawiedliwy wymierza im kary dotkliwe już w tem życiu i dał im sumienie, które dla złego człowieka jest najostrzejszym sędzią a które mu spokojnie usnąć nie dozwala. To sumienie jednak staje się również wielką pociechą w strapieniu i nieszczęściu dla człowieka, który żyje cnotliwie. A nietylko sumienie wynagradza cnotę, lecz także i inne rzeczy, które omijają nieuczciwego człowieka. Jak miło bowiem zasiąść ubogiemu po dziennym trudzie i ciężkiej mozole w gronie chociaż ubogiej rodziny, która mu swą miłością trud wynagradza. Występny zaś człowiek tego błogosławieństwa nigdy nie użyje, rodzina staje mu się bowiem albo zarzutem żywym, albo Bóg mu ją zabiera.

Że rzeczywiście rzecz tak się ma, że boskie oko w istocie patrzy na nasze czyny i złe karze a dobre nagradza, chcę Wam w tej powiastce udowodnić.

Oto w Rusiatyczach w dawniejszym obwodzie brzeżańskim żył gospodarz dosyć zamożny z żoną i trojgiem dzieci. Piotr Koza, tak było mu bowiem na imię, gospodarował pilnie, był zawsze trzeźwy i pracował, żona jednak jego była kobietą złośliwą i dokuczała mężowi we wszystkiem. Cóż powiedzieć o biednych dziatkach? Były one ofiarą gniewu i złości swojej matki, która je bez przyczyny biła i jak nad zwierzętami nad niemi się znęcała. Ojciec ich wreszcie który od swej żony, a ich matki rozmaitych przykrości doznawał, zamiast bronić biednych dziatek od gniewu i popędliwości matki, zaczął stronić od domu i zachodził do karczmy, gdzie wódka zatapiała pamięć i wytępiała w nim uczucie ojcowskie. Rodzice swojem postępowaniem dawali zły przykład swym dzieciom — ojciec wracał z karczmy pijany i swarzył się z matką, która mu nie szczędziła zelżywych przezwisk, a nawet nieraz i na bitce się kończyło. Dzieci zaś biedne nie tylko na to zhańbienie rodziców patrzeć musiały lecz odbierały jeszcze plagi niezasłużenie od matki, której nie wystarczyło naswarzyć się i obić pijanego męża.

Pewnego wieczora — działo się to przed kilku laty — Piotr Koza znowu z karczmy do domu powraca jak zwykle sowicie podpity. Kozowej żółć się zaraz na to obruszyła i nuże, łajać i wyklinać:

A ty opoju, leniwcze! Bodajby się wódczysko w tobie zapaliło, ta zdechłbyś gdzie pod płotem!

— Znowu, pijaku, w cztery drogi do domu powracasz!

Pijany Piotr, zdaje się, nie zrozumiał słów małżonki, bo się rozśmiał po pijanemu, i zaczął śpiewać:

„Aneczko kochana
Danaż, moja dana“ i t. d.

— A dam Ci ja Aneczkę! Na weź! — i pięść potężna pani Kozowej przylepła do czerwonej i nabrzmiałej twarzy męża.

Dziatki w płacz, postraszyły i zasmuciły się, że niegodziwa matka tak ojca ich obija, gdyż ojciec, chociaż nie wiele się

troskał o dzieci, tak przecież im złego słowa nie powiedział nigdy.

— A wy, gadziny! śmiecie jeszcze tu beczeć za tym opojem? wrzasła rozwścieklona Piotrowa i za dobre serce dzieci, od którychby się była mogła nauczyć cierpliwości i miłości, zaczęła je okładać kijami.

Ta wrzawa i krzyk ten pozwabiały sąsiadów z chat, a Jędrzej Badylak, jeden z najzacniejszych i najbardziej poważanych włościan, zaczął Kozowej czynić przedstawienia:

— Ależ proszę Was, cóż zawiniły biedne dzieci, jeśli płaczą jak Wy im ojca obijacie? Wszak Piotr był najporządniejszym gospodarzem, jakeście wyszli za niego, ale i anioł by nie mógł wytrzymać, gdyby mu kto tak dokuczał, jak Wy to czynicie. Przestańcież raz swarzyć, a Piotr się poprawi. Miejcie też staranie o Wasze dzieci, bo czegóż się one nauczą, jeśli w ich oczach ojca tak obijać będziecie?

— A co wam do tych piekielnych szczeniąt? Co mi tu będą robiły tyle wrzasku za tym łajdakiem i opilcem? Ja sobie nie dam napluć w kaszę! Wolno mi robić z swojemi dziećmi co mi się podoba! Won zatem! Czegoście się tu poschodzili? Tak swarzyła Anna Kozowa. Badylak z litością spoglądał na biedne dzieci, nic już nie rzekł do tej piekielnicy i z łzą w oku poszedł do domu. Pani Kozowa jeszcze długo swarzyła i klęła lecz wreszcie ucichło w Piotrowej zagrodzie i wszyscy posnęli.

Piotr snem się wytrzeźwił, wstał zrana, ucałował swą dziatwę, pomodlił się Bogu i wyszedł do pracy.

Anna wstała również zrana, lecz nie postąpiła sobie, jak mąż jej, ale pościągała biedne dzieci z tapczanów i nawymyślała im, że są śpiochy i leniwce.

Po śniadaniu, z którego się Piotrowi nic a dzieciom bardzo mało dostało, gdyż Anna najwięcej o siebie dbała, wyszła, by zebrać resztę konopi i wysuszyć je na piecu. Tymczasem dzieci zostały w domu i cieszyły się, chociaż zamknięte, że matka wyszła. Była to dla nich jedyna chwila swobody. Zabrały się zatem do zabawy. Starsza dziewczynka Marynia pomyła naczynie, a młodsi bracia Grzegórz i Janek bawili się koło pieca, w którym tlały jeszcze węgle po ugotowanem śniadaniu.

Dzieci pozostawione bez opieki na rozmaite przychodzą pomysły; — nic też dziwnego, że i biedne dzieci Piotra i Anny pomyślały nad zabawą i poczęły na piecu schnące konopie podpalać.

— Patrz no, jak to pięknie kłaki latają po pokoju! — zawołał Janek, a Marynia paliła coraz więcej konopi, bo chciała zabawić swego najmłodszego braciszka i opowiadała, jak to raz, gdy była z ojcem w Brzeżanach, jakiś Niemiec w wieczór puszczał ogniste kule, które w powietrzu pękały i rozsypywały czerwone, białe i niebieskie iskry.

Janek i Grzegórz słuchali pilnie opowiadania siostrzyczki i palili tem więcej konopi w myśli, że ten Niemiec także takie kule ogniste puszczał. — Lecz na nieszczęście kłak jeden konopiany padł między nagromadzone przędziwo i kłaki, które się natychmiast zajęły i innym sprzętom płomieni udzieliły. Wszystko zaczęło w chacie goreć, a trwoga dziatek biednych dochodziła już najwyższego stopnia, nie chciały jednak krzyczeć by nie zwabić matki, od której się plag nielitościwych otrzymać obawiały. Woda z konewki nie wystarczała by ugasić płomienie, Marynia więc już prawie bez przytomności, zaczęła dmuchać w nadziei, że ogień zagaśnie, do czego w końcu, gdy jej tchu nie stało, użyła fartuszka. Lecz ogień tem bardziej się wzmagał i sprzęt po sprzęcie zaczął się palić.

— Maryniu! Mamine poduszki się palą — krzyknął biedny Janek, a Marynia w największej rozpaczy rzuciła się na łóżko matki i zaczęła wyrzucać palące się poduszki Lecz niestety! spodniczka się jej zajęła na ciele. Bracia maleńcy, gdy zobaczyli, co się dzieje z ich starszą siostrą, pobiegli do niej, by ją ratować, narobili krzyku, lecz także się zajęli. Już przestała wtedy obawa plag i bicia od matki, i dzieci poczęły krzyczeć, co im głosu stało. Na to nadbiegła matka. Rozjuszona, jak żmija, otwiera drzwi, lecz, gdy zobaczyła płomienie, nie pobiegła ratować dzieci, ale zatrzasnęła drzwi z obawy, że wskutek przeciągu powietrza cała chata zgoreć by mogła i odbiegła do dawniejszego zatrudnienia, ażeby sąsiedzi nie dowiedzieli się, co się w chacie dzieje i ażeby nie przyszli dzieciom w pomoc a chacie na spalenie.

Tak to ta piekielnica ocalenie chaty przenosiła nad życie swoich trojga niewinnych dziatek i poświęciła je na najokropniejsze męki i na śmierć najokropniejszą. — Tymczasem zgorzały wszystkie sprzęty, a dziatki srodze popalone jęczały na ziemi, i wiły się w srogiej boleści — jęczało ich już tylko dwoje, ponieważ biedny Janek spalił się już na węgiel.

Gdy ogień się zadusił dymem i brakiem powietrza, nadchodził z pola właśnie już wyżej wspomniony gospodarz Jędrzej Badylak. Posłyszał on jęk Maryni i Grzegorza, lecz sądził, że to znowu matka pastwi się nad niebożątkami, stanął więc i słucha. Ale ani matka nie klnie, ani uderzeń nie słychać. Domyślał się więc zaraz, że musiało się stać jakieś nieszczęście w chacie i drzwi wysadził.

Cóż za okropny widok przedstawił się jego oczom! — Tu biedny Janek spalony na węgiel, tam znowu okropnie ogniem poranione rodzeństwo Marynia i Grzegórz! Osłupiał na ten widok, lecz odzyskał wkrótce przytomność i wyniósł z dymu najpierw Grzegorza, a potem Marynię, którzy jeszcze pozostali przy życiu, zaniósł ich do swojego domu i poruczył ich opiece swej żony, poczciwej Jadwigi.

— Patrz no, co to się z biednemi dziećmi stało — zawołała Jadwiga, załamała tylko ręce, a łzy rzęsiste zrosiły jej oblicze.

Natychmiast się udał Jędrzej po lekarza do pobliskiego miasteczka lecz lekarz zastał już umarłego Grzegorza i w okropnych mękach Marynię. — Wśród tych mąk zdołała Marynia jednakowóż jeszcze opowiedzieć całe zdarzenie, jak to wszystko się stało i jak matka widziała ich w niebezpieczeństwie; w końcu prosiła, by przywołano matkę, gdyż chce ją prosić o przebaczenie.

Przywołano matkę. Ta, gdy zobaczyła dziecię jeszcze żyjące, zawołała:

— Cóżeście narobiły, wy niepotrzebne szczenięta! Spaliłyście mi nicponie całą pościel i pracę rąk moich, całe moje przędziwo! Oj, gdybyś tak nie chyrlała i ócz nie zawracała to jabym cię nauczyła ogniem się bawić. Zdychaj teraz, kiedyś sobie to sama narobiła!

— Ależ, Anno, patrzcie, wszak wasze ostatnie dziecię kona, chłopcy się popiekli, pocieszcież biedną dziewczynę i przebaczcie jej! — rzekła Jadwiga.

— Co mi tam było z tych piekielnych szczeniąt! Teraz choć nie potrzebuję się niemi turbować — rzekła w największym gniewie i drzwi zatrzasła za sobą.

Marynia już nie jęczała — Bóg się nad nią zlitował i jeszcze, gdy na nią niegodziwa matka wymyślała, oddała ducha swego w ręce Aniołów. I trzy duszyczki uleciały do nieba, uwolnione od mąk i prześladowań matki.

Ojciec przyszedł wreszcie z pola i dowiedział się od Badylaka o okropnem zdarzeniu i usposobieniu swojej żony. Łza nie zrosiła jego twarzy, zmarszczki boleści nie okryły jego czoła — lecz roześmiał się i zawołał: „Mortku, daj wódki niech żyje Anna!“ — biedaczysko dostał pomieszania rozumu. Wkrótce jednak zmieniła się radość jego szalona w głęboki smutek — zamącenie zmysłów nie ustąpiło — mimo to wymawiał tylko ciągle „Anno, gdzieżeś me dzieci podziała?“

Anna zajęła się zaraz uprzątnięciem popiołów z chaty, z której biednego Piotra wypędziła. — Nie mógł na to obojętnie patrzeć Badylak i powiedział jej, że ją przed sądem oskarże, że swych dzieci nie ratowała. — Zaczerwieniła się jej twarz chuda i koścista, lecz wkrótce pobladła ze złości, nogi się zachwiały, żółć jej pękła i Anna umarła bez pociechy — nagle; Bóg jej nie dał czasu do pokuty, lecz osądził ją według sprawiedliwości swojej.

Tak też osądził sprawiedliwie Piotra, wszak i on zawinił, — nie bronił swych dzieci przed napastną matką, nie znosił ciężarów cierpliwie, jakie nań Bóg włożył dla próby, ale w gorzałce szukał pociechy. Dlatego też Bóg i jego ukarał, odjął mu rozum, lecz ukarał go mniej ciężko; po kilku bowiem latach powróciły mu zmysły. Tak też Piotr Koza poznał, że zgrzeszył, zarzucił gorzałkę, codziennie zrana odwiedza groby swych dzieci i żony, za której duszę się modli do Boga. Potrafił on połączyć pracę z modlitwą, pracował i pracuje i jest obecnie jedynym z najzamożniejszych i najuczciwszych gospodarzy, — gdyż Bóg nie chce zatraty grzesznego, lecz jego poprawy.

Mańko ze Stryja.

Koszykarz.

Chłodno i mglisto było na dworze,
Chmury ciągnęły nad lasem,
A choć to niby w wiosennej porze,
Śnieg drobny popruszył czasem;
W chruścianej chacie, w lasu głębinie,
Kędy porastał głóg dziki,
Jakiś człek stary, tuż przy kominie
Siedząc, wyplatał koszyki.
Szron mu już białe przypruszał czoło
Jako starości zadatek,
Jednak pracując, śpiewał wesoło,
Pomimo liczby swych latek.
Czarny krzyż wisiał w głowicy tapczana,
W kącie stał kufer drewniany,
A obok ława, i u stóp pana
Spoczywał Burek zaspany;
Lub czasem w oczy spojrzał mu wdzięcznie,
Czując do pieszczot ochotę,
A ręka starca szybko i zręcznie
Wiodła zaczętą robotę
W tem zaszarzało coś pod oknami,
Burek się ocknął w pół gniewny,
I wnet z stukaniem tuż pode drzwiami
Głos jakiś ozwał się rzewny.
— Hej! kto tam znowu, czego tu puka?
Rzekł stary ze swojej ławy.
— Sierota, wsparcia bagatszych szuka,
Odrzekł mu na to głos łzawy.
— A toś nie w porę wybrał się bracie,
Jam także człowiek ubogi...
Lecz chodź, przynajmniej odpoczniesz w chacie,
Nabierzesz siły do drogi.
Otworzył starzec, a w drzwi otwarte
Strudzone głodem i drogą,
Młodziuchne chłopię blade, obdarte
Nieśmiałą wstąpiło nogą.
Starzec z litością spojrzał na dziecie,
Obok komina je sadza,
I pyta, czemu nędza je gniecie,
I co go tutaj sprowadza?
— Ha! rzecze chłopak, w mej ciężkiej męce

By chleb u ludzi wyżebrać.
Rodzice wcześnie zeszli ze świata
Stryj własny wygnał mię z sioła,
I otóż dzisiaj w dziecinne lata
Nie mogąc więcej odebrać,
Muszę błagalnie wyciągać ręce,
Prócz życia nie mam nic zgoła.
— O nie mńj chłopcze, starzec mu powie,
Ja nie boleję nad tobą,
Czyż to rąk nie masz, rozumu w głowie
I Boga w niebie nad sobą?
Byle do pracy moc i ochota.
Możesz na przyszłość rachować;
Bo wierz mi, tylko próżniak, niecnota
Gdy może, niechce pracować,
Widzisz, jam także człek nie bogaty,
I wiekiem starszy od ciebie,
A jednak pracą, z tej niskiej chaty
Wygnałem biedę od siebie.
I jam dość wcześnie został sierotą,
Niepewną w życiu miał drogę,
Alem się z biedą rąbał z ochotą,
Aż pokonałem niebogę.
Dziś mi do szczęścia więcej nie trzeba,
Złe mnie sumienie nie budzi,
Mam własny kątek, własny kęs chleba,
I śmiałe oko u ludzi,
Najcięższa praca nie upokarza,
Lecz cię od wzgardy zasłoni,
A ileż razy dziada, nędzarza
Lada kto za drzwi wygoni!
O! pracuj raczej krwawo me dziecię.
Lecz nie żebrz, mówię ci śmiele,
Że przejdziesz z dumą po całym świecie,
Bo zdrów na duszy i ciele.
— Nie wiem co na to rzekł chłopiec młody,
Lecz chętnie w starca szedł ślady,
Dając wyraźnie w życiu dowody,
Że zdrowej nie wzgardził rady.
I dziś się jeszcze tem szczyci,
Że Bóg go w życiu uchronił,
Gdy słabą bronią, koszykiem z wici
Biedę od siebie odgonił.

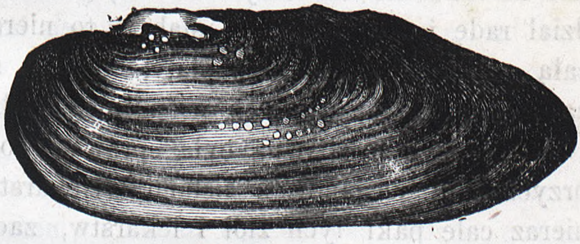
Któżby dziś poznał nędzną chłopczynę,
Kiedy z pogodą na twarzy
Poda dziadkowi jaką grosinę,
Z dobrej koszyków sprzedaży!

Korale i perły.

Niedawno wróciłem, mili Czytelnicy, z okolic Krakowa i znowu jestem w naszym Lwowie, skąd tyle wam już rzeczy popisałem i do druku w Dzwonku podałem. Otóż byłem ci w Łobzowie byłem w Wieliczce byłem i u Ojców Kamedułów na Bielanach, dalej w Krzeszowicach, w Alwerni nawet, ot całą ukochaną okolicę Krakowa zwiedziłem po długiem nie widzeniu. Widziało się ciekawego niemało, pogadało z tym i owym starym znajomym, i nowego człeka nie jednego się poznało, a zacnego i poczciwego. Ależ nie o tem wam chcę pisać. Powiem wam o ciekawym wypadku, com go był świadkiem w tej mojej podróży.



Koral.



Muszla perłowa.

Było to w miasteczku Chrzanowie w dzień świętego Jana Chrzciciela. Co roku w ten dzień jarmark tam nielada. To też przypatrywałem się, jak tam ludziska kupują a sprzedają, jak się targują, umawiają, towar przeglądają i t. d. Chodzę sobie środkiem targu, i rozpatruję. Wtem patrzę, aż tu pod jednem domostwem stoi kupka ludzi i coś strasznie radzą, a głowami kiwają. Stary jakiś gospodarz coś opowiada, a inni znowu to słuchają, to się odzywają z swojemi słowami. Z ciekawości

przystąpiłem bliżej, i słucham, o co tam za sprawa. Wtem poznaje mię jeden z gospodarzy i rzeknie:

— A chodźcie tu bliżej Stachu, toć posłuchajcie, bo to ciekawa rzecz się stała.

Przychodzę jeszcze bliżej, a tu mię ten i ów poznaje i zaraz mi rozpowiadać poczynają.

Rzecz taka była:

W okolicy Chrzanowa jest mała wioska jedna, z której właśnie ci włościanie byli, a której wam nie nazwę, bo mię o to prosili. Otóż w tej wiosce żył sobie panisko jeden który nie był właścicielem tej wioski, jeno ot tak sobie tam miejsce upodobał, kupił prostą chałupę, parę morgów pola i tam zamieszkał. Pola swojego nie zasiewał żadnem zbożem, same tylko zasiewał i pielęgnował różne zioła i krzaki. Bywało wiecznie z książką pod pachą po wiosce się przechadza, to do lasu pójdzie i ztamtąd różnych i ziół i korzeni do domu znosi, to znowu roślin na swojem polu sam dogląda bo sług żadnych nie miał. Dziwny zdawał się to człowiek, smutny, zamyślony, jakby go jakie wielkie nieszczęście w życiu spotkało. Ale niechno kto zachoruje we wsi, to człowiek ten zaraz wiedział radę i pomoc. Przy słabym to nieraz i noc przesiedział całą, a żadnej nie brał zapłaty, ani za swą poradę, ani też za zioła, i leki, które z sobą przynosił. A z temi ziołami i lekami jego to dziwna była sprawa, bo to z dalekich stron przychodzili posłańcy z listami o lekarstwa. Panisko posłał nieraz całe paki tych ziół i lekarstw, zaco też i grosiwa musiał brać od obcych, bo i z czegożby żył zresztą. Od swoich zato ani szeląga nie przyjął. Trwało to lat nie mało; wszyscy się przyzwyczaili do staruszka i pokochali go bardzo. Wtem jednego dnia przywołał staruszek do siebie Jacentego Ziębę, a oraz i dwóch innych gospodarzy, poczęstował, i tak prawić począł:

— Moi kochani gospodarze! Stary jestem, czuję że mi z każdym dniem coraz to sił więcej ubywa, trza będzie nie długo już może pożegnać się z tym światem i z wami moi kochani. Otóż przed śmiercią chciałbym jedną jeszcze rzecz załatwić, i dlatego was do siebie prosiłem. Znam was Jacenty,

jako człowieka poczciwego, zacnego, a przytem wiem, żeście w świecie bywali, to też spryt macie i rozum, i dlatego do was się udaję. Tu jest mała paczka. W tej paczce są grube pieniądze, bo przeszło 4000 złr. Otóż chciałbym, abyście te pieniądze zawieźli do Warszawy, abyście się tam dopytali o moją siostrę, i jej te pieniądze wręczyli. Ale trza się sprawić rozumnie i sprytnie, żeby Moskale nie zwąchali, że to odemnie, boby natychmiast pieniądze odebrali. Naukę, jak sobie macie postąpić, a oraz grosz na drogę, dam wam później, teraz tylko powiecie, czy się zgadzacie na to?

Poskrobał się w głowę Jacenty, bo to i żona w domu, i dziecina mała, a nie ma komu gospodarstwa zostawić. Pomyślał chwilę i rzekł:

— No, juściż dla Jegomości to zrobię. Bywał tam człowiek w tej Warszawie, toć się i dopyta, a zrobi, jak się należy.

— Bodaj to cię Bóg kochał, mój Jacenty, odrzecze staruszek, toś mi i cały kłopot wziął ze serca. Już teraz spokojnie umrę. A jedno jeszcze powiem. Otóż widzę że ci to trudno gospodarstwo twoje zostawić bez dozoru, no ale i na to jest rada. Mówiłem z tymi dwoma oto gospodarzami, a oni się chętnie podjęli, twego gospodarstwa dojrzeć. A że to u was nie bardzo zamożno, to też przy tych oto świadkach darowuję tę chałupinę moją z ogródkiem i wszystkiem na waszą własność po mojej śmierci. Jedną tylko rzecz wyjmuję sobie. Waszej córeczki ja byłem kumem, i śmiali się z Was ludzie, żeście starego prosili w kumy, a stary nic nie dał. Wyście się mimo to nie gniewali na mnie. Widzicie otóż chciałem was wypróbować, a teraz rad wam jestem. Przeto tę szkatułę, którą tu w rękach trzymam, oddaję w waszej przytomności tym dwom świadkom, by ją u siebie chowali, póki córka wasza nie dorośnie lat 18. W dniu kiedy córka wasza rok 18 ukończy, świadkowie przy was tę szkatułę otworzą, a co w niej znajdziecie to ja córce waszej ofiaruję.

Jacenty ucałował ręce starego Jegomości, i przyrzekł święcie wszystkiego dotrzymać. Swiadkowie odebrali szkatułę.

Za kilka dni puścił się Jacenty w drogę doszedł szczęśliwie

do Warszawy, gdzie siostrę zamężnią staruszka odszukał, i paczkę z pieniądzmi jej wręczył. Powrócił także szczęśliwie, i za powrotem zastał jeszcze staruszka przy życiu wprawdzie, ale już bardzo słabego. Ucieszył się starowina, gdy mu Jacenty dał list od jego siostry, płakał i radował się. Wciąż się modlił przez parę dni, i wciąż błogosławił to w stronę północną ku Warszawie, gdzie ta siostra jego ukochana, to znów Jacentego, jego żonę i dziecinę, którzy słabego nie odstępowali, to znów całą wioskę, całą ziemię naszą drogą Polską. Modlił się na głos starowina, a bił w piersi, — a wciąż tylko słychać było słowa modlitwy do Pana Zastępów o biedną Ojczyznę. Nareszcie przyjął święte Sakramenta, i z temi słowami „Boże zbaw Ojczyznę drogą“ zasnął w Panu.

Jacentemu mało serce nie pękło od żalu. Cała wieś w smutku postępywała za trumną nieboszczyka na wiejski cmentarzyk.

Minęło lat kilkanaście. Nadszedł dzień, w którym Jagusia córka Jacentego skończyła lat 18. Jacenty ze świadkami i ową szkatułą poszli do urzędu w miasteczku, by tam przy urzędniku szkatułę ową otworzyć. Był to właśnie ten dzień jarmarku, w którym byłem w Chrzanowie. Urzędnik obejrzał pieczęcie, obejrzał zamek, wszystko było nienaruszone. Wreszcie otworzono szkatułę. Na wierzchu był papier z napisem: Podarunek dla mojej pochrześnicy Jagusi w 18 rocznicy jej urodzenia. Pod tym papierem było kilka zawiniątek. W pierwszym zawiniątku kilka igieł i nici, a na tem napis: Bądź pracowita, bo tylko pracą, ludzie się bogacą. W drugiem książeczka do nabożeństwa ładnie oprawiona, a na niej zlotemi literami napis: Kochaj Boga nadewszystko a bliźniego jak siebie samego! W trzeciem zawiniątku była książeczka kasy oszczędności w wartości 200 złr. na tej książeczce namalowana mrówka, i napisano „Pracuj i oszczędzaj“. Na samem dnie szkatuły leżało kilka biczów ogromnych korali i parę sznurków pięknych białych pereł. Przytem karteczka była dołączona: Nie dla próżności daję ci takie piękne ozdoby. Niech one ci służą i do ubrania i do zaratowania w nagłej potrzebie Bądź czystą i niewinną jako perły te białe znakiem

są niewinności. Ucz twe dzieci miłości bliźniego i matki Ojczyzny, jako te korale czerwone są znakiem, by nie skąpić czerwonych krwi kropel dla ukochanej Polski. Bóg ci szczęść i dziatkom twoim, i wszystkim ludziom dobrej woli.

Do serca wszystkim poszły te nauki nieboszczyka, jakby z za grobu głos jaki, tak to wszystkich przeniknęło. Jagusia rzewnie się spłakała.

Wyszli z urzędu i poczęli radzić między sobą, a gadać i rozprawiać. To też w ten sposób ja się o tem dowiedziałem.

Postanowili udać się do księdza proboszcza, i wielkie za duszę nieboszczyka zamówić nabożeństwo. Przyszli na probostwo ale nie zastali księdza proboszcza, bo do słabego wyjechał, przeto siedli w ogródku i czekali. Ja między nimi także i słuchałem rozmowy. Był tam i nauczyciel z ich wioski, a gdy się wszyscy do syta nagadali, on tak rzeknie:

— A może by też nie zaszkodziło bym wam powiedział skąd to właściwie perły i korale się biorą?

— Bardzo prosimy pana nauczyciela, chętnie posłuchamy, odrzekli wszyscy.

— Otóż słuchajcie, rzekł pan nauczyciel:

Koral rośnie w morzu do skał lub do dna morskiego przyczepiony; wygląda jak maleńki gałęzisty krzaczek, najwięcej na pół łokcia wysoki, o czerwonym grubszym pniu i również czerwonych cieńszych gałązkach. To podobieństwo koralu do krzaczka, naprowadziło ludzi na myśl, że to jest roślina rosnąca w morzu. Na każdej gałązce są małe brodawki, z których każdej po ośm cienkich niteczek wystaje. Otóż na te brodawki z niteczkami myślano że to kwiatki tej rośliny. Tymczasem okazało się inaczej. Gdy się ludzie tym niteczkom przez powiększające szkła uważnie przypatrzyli, ujrzeli że pomiędzy temi cienkiemi niteczkami leży pyszczek małego zwierzątka które jest do gałązki przyrosłe, a karmi się sokami, krążącemi wewnątrz po całym krzaku koralowym. Górne, cieńkie gałązki korala są miękkie i giętkie, i dopiero po latach grubieją i twardnieją, póki się nie staną tak twarde jak to na tych oto koralach widzicie. Najwięcej korali znajduje się w morzu śródziemnem, które jest między Afryką i Europą. Wydobywanie

korali z głębin morskich jest bardzo mozolne. Przy płytszych brzegach rybacy drągami długiemi korale od dna morskiego odbijają, i sieciami do łodzi je wyciągają. Wyłowione w ten sposób gałązki koralowe krają ludzie na małe kawałki, toczą je w kształt okrągły, wiercą w nich dziurki i nawlekają na nici. Z grubszych kawałków robią rączki do lasek, trzonka do nożów i inne kosztowne ozdoby.

Inaczej się rzecz ma z perłami. Żeby wam to wyjaśnić lepiej, przypomnę wam muszle, albo jak inni nazywają skójki co to ich pełno po naszych stawach. Niejeden myśli, że w tych muszlach to się żaby lęgną, ale to nie prawda. Jest w tych muszlach zwierzątko, co niema ani kości, ani ości w sobie, podobne do ślimaka bez skorupy, całkiem miękkie, przeto zwie się mięczakiem. Te muszle, w których zwierzątko to niby w domku mieszka, robi ono sobie same, mają bowiem w ciele zwierzęta te taki sok lepki, że jak go tylko wypuszczą ze siebie, to on twardnieje i skorupą na wierzchu osiada. A że, dużo jest wapna w tym soku, więc mocną i trwałą muszlę, jakby domek jaki murowany, zwierzątko sobie z niego wyrabia. Takich mięczaków jest dużo i różnych gatunków, mało wprawdzie w naszych stawach i rzekach, za to w morzach moc ich jest niezmierna.

W jednem morzu, które bardzo daleko jest od nas, bo aż na południowej stronie Azyi, są muszle do naszych podobne, ale większe, grubsze i okrąglejsze, a przytem bardziej błyszczące jak nasze. Zwą się te muszle perłowemi. Owóż w środku w tych muszlach znajdują się perły. Gdy bowiem wpadnie co zwierzątku wewnątrz tych muszli żyjącemu między skurupy, choćby tylko ziarneczko piasku, to go to tak gryzie jak nieprzymierzając człowieka, kiedy mu co do oka wpadnie. Jak nam jaki pyłek do oka wpadnie, to zaraz łzy nam wyciśnie, tak też w podobnym razie zwierzątko to wypuszcza zaraz z siebie ten sok, o którym wam mówiłem, że z niego cała muszla powstała. Tym sokiem obciąga zwierzątko ziarnko piasku, aby mu nie dokuczało. A skoro sok ten po jakimś czasie stwardnieje, to macie już perłę gotową.

Takie muszle perłowe leżą na samem dnie morza i trudno

bardzo wydobyć je na wierzch. Nie lada to potrzeba odwagi, żeby się spuścić aż na samo dno morza, gdzie Bóg wie ile sążni głębokości, gdzie różne potworne ryby łatwo śmiałka ukąsić lub nawet zeżreć mogą. Człowiekowi ciarki przez plecy przechodzą, gdy w jakim naszym stawie dla ciekawości lub z potrzeby na dno się puszcza, a nie dopiero na głębokiem morzu. Pomimo tego są ludzie, którzy się tego podejmują. Dla chęci zysku lub też z biedy człowiek wszystko zrobi. Otóż zbiera się takich kilkadziesiąt śmiałków, co to sobie swoje życie nie wiele szacują, ci siadają po kilkanastu na wielkie łodzie i wyjeżdżają na morze. Z tych ludzi połowa zwie się nurkami, to jest tacy, co pod wodę idą, a druga połowa kieruje łodziami i pomaga tamtym. Skoro cośkolwiek od brzegu odpłyną, wtedy każdy nurek opasuje się mocnym powrozem, a drugi koniec tego powrozu przymocowuje do łodzi. Potem przyczepia sobie długą sieć do pasa, chwyta jedną ręką nóż, drugą ręką zatyka nos i usta i rzuca się w wodę. Trzeba na to tęgiego człowieka, żeby w sobie tak długo dech zapierał, póki muszli do sieci nie nazbiera. Za dobrą chwilę po skoczeniu w wodę, nurek nazbierał już dość muszli, szarpie przeto za powróz, a na ten znak ludzie na łodzi wyciągają go do góry. Tu nurek wysypuje muszle perłowe ze sieci, spoczywa chwilę i na powrót rzuca się w otchłań morską, by z nowemi muszlami powrócić. Nie zawsze i nie każdemu to się szczęśliwie udaje. Nieraz biednemu nurkowi nosem i ustami krew buchnie, kiedy za długo oddech w sobie zapiera. Wtedy wyciągają zemdlonego na wierzch. Czasem też się wydarza, że nurka jaka ryba wielka pod wodą napadnie a on tu nic nie ma do obrony swej, tylko nóż jeden, co mu służy do obrywania muszli. Wtedy pod wodą poczyna się walka straszliwa! Nieraz nurka wyciągną pokaleczonego lub też i nieżywego. A smutno to i strasznie być musi umierać pod wodą bez przyjaciela, bez pomocy.

Mniejsze i mniej ładne perły są i po rzekach w Niemczech, szczególniej w Saksonji. Wielkie i ładne tylko w morzu i te są nadzwyczaj drogie, ale bo też i drogie życie ludzi, którzy nieraz giną, by taką perlę na zbytek innych bliźnich wyłowić.

Na tem skończył nauczyciel, a ja wam, kochani czytelnicy, i zdarzenie całe i opowiadanie nauczyciela wiernie opowiedziałem. Panu Bogu was oddaję. *Stach ze Lwowa.*

Rozmaitości.

– *Sposób leczenia zranień ócz u bydła rogatego.* Zdarza się zbyt często, że bydło rogate zrani sobie oko, czasem przez przypadkowe szturknięcie a częściej niestety przez nieostrożne uderzenie poganiacza, pastucha, lub inne bydle. Jeżeli tylko zewnętrzne części oka w takim wypadku ucierpiały, tedy nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Takie skaleczenie powierzchowne daje się wyleczyć przez samo przemywanie i okładanie świeżą zimną wodą, która puchliznę spędza i zapalenie uśmierza. Jeżeliby zaś powieki były przecięte, tedy należy zeszyć je za pomocą zakrzywionej igły jednym lub kilku ściegami, a zapalenie, które taka operacya wywołać musi, ułagodzi, jak wyżej powiedziano, świeża zimna woda. W razie, gdyby część powieki była tak naderwana, że spojoną już być nie może, nie pozostaje nic innego jak odciąć tę cząstkę ostrym nożem. Inaczej jednakże trzeba postąpić, jeżeli sama źrenica jest uszkodzona i gwałtowne pokazuje się zapalenie: tu już bez puszczenia krwi obejść się nie można. Należy i w tym wypadku używać zimnej wody, ale trzeba niezwłocznie w bliskości oka zaciągnąć zawłokę, posmarowaną tynkturą z much hiszpańskich (kantarydów), przez co się zapobiegnie późniejszemu bolowi ócz.

Zagadki.

Które zwierzę jest najsilniejsze?
(*Ślimak, bo swój dom sam niesie.*)

Który napój jest najmocniejszy?
(*Woda, bo pędzi młyny i niesie okręty.*)

Czego słońce nie oświeca?
(*Cienia.*)

Który koń widzi tak dobrze z tyłu, jak i z przodu?
(*Ślepy.*)

Redaktor odpowiedzialny Kazimierz Okaz. — Wydawca Stanisław Justian.
Z drukarni E. Winiarza we Lwowie.